



Zofia Polanowska

Historia jednego życia 1939-1945

Wszystkim, którzy dzielili ze mną ten los moją pracę poświęcam

Przyszłam na świat jako pierworodne dziecko, w wilię Zofii, nad brzegiem Morza Bałtyckiego. Wcześniej ze starego osiedla pomorskiego zaczęła tu powstawać Gdynia. 23 września 1922 roku rozpoczęto budowę portu morskiego, a 13 sierpnia 1923 roku zawinął do Gdyni pierwszy w historii statek bandery francuskiej.

Głównym realizatorem budowy portu w Gdyni i floty handlowej był inż. Eugeniusz Kwiatkowski. W latach 1924-1939 wioska rybacka przekształciła się w nowoczesny port handlowy i duże miasto, które tworzyli przybysze z całej Polski. Wśród nich byli moi rodzice. Porzucili swą rodzinną ziemię kaliską i postanowili tu żyć, na tej nadmorskiej ziemi obiecanej, na której pobudowali swój dom na obrzeżach lasu. Las ten pobudzał moją wyobraźnię dziecięcą. Pewnego razu matka zaczęła poszukiwać dziecka, które nagle znikło. Włączyła w to sąsiadów a nawet zawiadomiła policję. Dwugodzinne poszukiwanie dało rezultat – znaleziono mnie w lesie zbierającą jagody. Miałam wówczas cztery lata.

Las i brzeg morski to najpiękniejsze miejsca spacerów z rodzicami i moją jedyną siostrą, której śmierć stała się pierwszą tragedią mojego życia. Miała siedem lat. W czasie jej pogrzebu stałam jak martwa nad jej grobem. Nie mogłam mówić, nie mogłam płakać, świat w moich oczach dziecięcych stracił właściwe barwy. Życie jednak musiało trwać dalej.

Chodziłam do Szkoły Powszechnej nr 14. Opiekę patronacką roztaczał nad nią Pułk Czwartaków. Wspomagał dzieci biedne, których nie brakowało w tamtych czasach. Fundowano darmowe obiady oraz wyróżniano dzieci pracowite i zdolne. Wśród tych szczęściarzy znalazłam się i ja. Byłam bardzo wzruszona, a wypadło to właśnie w dniu mojej Pierwszej Komunii Świętej – oficer Pułku Czwartaków wręczył mi dyplom uznania, jako najlepszej uczennicy klasy czwartej. Dyplom ten poza uznaniem pilności w nauce i dobrych wyników był także bezpłatnym wstępem do gimnazjum (wówczas były płatne). Jako jedyna dziewczynka wystąpiłam w białej sukience komunijnej. Czułam się jak gwiazda tej uroczystości. Tego samego roku w czerwcu przeżyłam atrakcje związane z Dniami Morza. Szkoła zorganizowała wycieczkę na statek „Sobieski”. Zobaczyłam prawdziwy statek zacumowany przy brzegu morza i prawdziwych marynarzy. Dzieci śpiewały z marynarzami:

*Morze, nasze morze, zawsze cię będziemy strzec,
Mamy rozkaz cię obronić lub z honorem na dnie twoim leć.*

Za parę miesięcy nadszedł 1 września 1939 roku. Wojna! Nad Gdynią warkot samolotów niemieckich, groza i przerażenie. Radio podawało nieustannie komunikaty: Uwaga! Uwaga! ORA 21 nadchodzi itp. Głos spikera radiowego brzmiał jak wyrok śmierci. Na Oksywiu walki, z Westerplatte dochodziły odgłosy strzałów armatnich, a błyskawice ognia na morzu i niebie tworzyły przerażający widok. Rozgorzało piekło nad skrawkiem ziemi leżącym nad polskim morzem. Wszyscy naokoło biegali i chowali się w piwnicach. Odłamki raniły i zabijały ludzi i konie, bo uciekano też konno w oszalałym strachu nie wiadomo dokąd.

Rozpoczął się wielki dramat narodu polskiego – tu na tym skrawku ziemi tak niedawno odzyskanej i miał się stać dramatem całego ówczesnego świata.

Gdynia broniła się do 19 września, lecz jęki strzałów z morza i powietrza było słychać nadal aż do kapitulacji.

W pokonanej Polsce zaczął się nowy etap historii – wielkiego dramatu Polaków. W Gdyni zaczęto obwieszczeniem o wyznaczeniu godziny policyjnej, potem o wysiedleniu ludności polskiej, z określeniem kto i kiedy musi tę nadmorską ziemię opuścić. Zaczęły się wysiedlenia, w tym także mojej rodziny.

Postanowiono pozostawić Kaszubów i Pomorzan, gdyż uważano ich za ludzi pochodzenia niemieckiego. Nadano im częściowo prawa obywateli niemieckich, a szczególnie „przywilej” wcielenia do armii niemieckiej. Nie wszyscy jednak byli chętni do przyjmowania tych przywilejów i przyznawali się raczej do polskości.

Ojciec mój od paru tygodni był w Wojsku Polskim, w ramach mobilizacji wojennej. Matka wraz ze mną i moim jednorocznym bratem została wyrzucona z własnego domu z niewielką ilością rzeczy osobistych. Zapędzono nas do wagonu bydłowego i zmuszono do opuszczenia Gdyni. Pojechaliśmy na ziemię kaliską, tam gdzie tkwiły korzenie mojej rodziny. Dotarliśmy do miasteczka Stawiszyn, leżącego 17 kilometrów od Kalisza. Na początek przygarnęła nas rodzina.

W tym cichym miasteczku, które zaczęło istnieć na prawach miejskich w 1291 roku, a rozbudowane zostało wraz z pięknym kościołem za panowania Kazimierza Wielkiego, zaczął się nowy, dramatyczny okres mojego życia.

Zimą 1939/40 przetrwaliśmy przy rodzinie, potem matka czyniła wiele starań w celu otrzymania jakiegoś mieszkania. Dostała pokój z małą kuchenką. Warunki były bardzo skromne, bez elementarnych wymogów sanitarnych i elektrycznych. Matka urządziła nas jak mogła i umiała. Oczywiście miało to charakter tymczasowy. Wszyscy żywili nadzieję, że wojna nie potrwa długo. Tymczasem wojna – wszelkie tragiczne wydarzenia i konsekwencje z nią związane – miały dopiero nastąpić.

W moim miasteczku w pierwszej kolejności zajęto się Żydami. Pewnej nocy wypędzono ich z domów i wywieziono w nieznaną. W następnej kolejności zabrano czołówkę inteligencji miasteczka – jak się potem okazało do obozu koncentracyjnego. Wprowadzono kartki żywnościowe, inne dla Polaków i inne dla Niemców. Za ubój trzody chlewnej przez rolników groziło wywiezienie lub nawet kara śmierci. Rolnicy musieli odstawić do punktu skupu wszystko co wytworzyli. Zamknięto kościół, a proboszcza tej parafii wywieziono. Zamknięto także szkołę. Zapanowała niewolnicza i terrorystyczna atmosfera. Nad tym wszystkim pełniła dozór niemiecka żandarmeria, mieszcząca się w jednym z domów na rynku miasteczka. I tak, zamiast szkoły opieka nad dzieckiem, moim bratem, wypełniała mi czas. Matka moja musiała zarabiać na siebie i dla nas na przetrwanie, bo trudno tu użyć określenia na życie. Zajmowała się – można rzec konspiracyjnym – handlem tkaninami lub okresowo pracowała w okolicznej fabryce cukru. Obowiązek utrzymania dzieci spadł tylko na nią, ponieważ ojciec, jako żołnierz polski, przebywał w niewoli niemieckiej.

W takich żalonych warunkach upływało moje życie aż do marca 1942 roku, kiedy to dwóch żandarmów i jeden miejscowy Niemiec o godzinie 4 nad ranem załomotali do naszych drzwi. Przyszli po mnie. Kazano mi się szybko ubrać, zabrać najniezbędniejsze rzeczy osobiste i pójść z nimi. Rozbudzona i przerażona – myślałam, że śnię jakieś koszmary, lecz to nie był sen, to była okrutna prawda. Czyniono to z charakterystyczną butą faszystowską. Nie było żadnej reakcji ludzkiej na prośby i łzy matki.

Doprowadzono mnie do budynku żandarmerii, gdzie czekało już kilkanaścioro dzieci i młodzieży ogłupiałych z przerażenia. Jak się okazało, ja byłam najmłodsza, miałam wówczas 13 lat. Rano przewieziono nas ciężarowym samochodem do Kalisza i umieszczono w zdewastowanej fabryce oleju. Dowieziono jeszcze młodzież z kilku miejscowości okolic Kalisza, z Pleszewa, Konina, Turku oraz z samego Kalisza. Transport przeznaczony do wywozu na roboty do Niemiec był już gotowy. Na betonową podłogę rzucono trochę słomy i tak przespaliśmy noc. Następnego dnia rano, pod eskortą żandarmów, zaprowadzono nas na dworzec kolejowy. Jak pod olejarnią, tak i na stacji było mnóstwo ludzi wciskających nam jedzenie jak tylko było to możliwe. Wpędzono nas do wagonów towarowych i z krótką przerwą we Wrocławiu (na potrzeby fizjologiczne i w celu napicia się wody) zawieziono do Magdeburga. Kiedy idąc ulicami przechodziliśmy koło więzienia, w którym przebywał Marszałek Józef

Piłsudski, starsza młodzież uświadamiała młodszych mówiąc: „kiedyś tu był więziony nasz przywódca narodowy, teraz zniewolili nas”. Cały transport zaprowadzili do Arbeitsamtu. Była tu już młodzież rosyjska, patriotyczna i odważna, która podtrzymywała nas na duchu. Umilali sobie czas recytując wiersze Puszkina. Tu po raz pierwszy otrzymaliśmy posiłek, składający się z zupy brukwianej i kubka czarnej zbożowej kawy. Noc przespałiśmy siedząc na stołach, leżąc na nich lub na podłodze.

Rano, po spożyciu kromki suchego razowego chleba i wypiciu kubka kawy, zaczął się handel żywym towarem. Podzielono nas na dwie grupy: silniejszych i starszych oraz młodszych i słabszych. Ja trafiłam do tej drugiej i w ten sposób zostałam odłączona od Wszystkich z mojego miasteczka. Gorycz moja nie miała granic, tym bardziej, że w tej sytuacji zostałam rozdzielona z moją kuzynką, która wraz ze mną została zabrana. Po te dwie grupy przyjechali zainteresowani i zawieziono nas w dwa różne miejsca w okolicy Magdeburga. I tak znalazłam się w miejscowości Moser na plantacji szparagów. Zakwaterowano nas w drewnianym baraku, stojącym daleko od wsi i domu właściciela plantacji, nad małym stawem, który miał nam służyć jako jedyne źródło wody. Barak był podzielony na dwie części i posiadał dwa oddzielne wejścia, ze względu na dwojaką pleć. Grupa nasza składała się z około 30 osób, większość dziewczynek. Spaliśmy na piętrowych pryczach. Sienniki i poduszki wypełnione były słomą. Wstawaliśmy razem ze słońcem i szliśmy na plantacje. Zaopatrzone nas w małe emblematy z literą „P”, co oznaczało Polak. Należało nosić je przyszyte do okrycia na piersi.

Szparagi rosły w długich kopcach. Na samym początku musieliśmy okopać te kopce. Nie wszyscy sobie radzili z łopata lub szpadlem w rękę. Po kilkunastu dniach chodziliśmy między tymi długimi (około 1 metra wysokości) kopcami ze specjalnymi nożykami i poniżej miejsca pęknięcia w ziemi wbijało się narzędzie, by przeciąć szparag, po czym należało go wyciągnąć. Posiłki przywożono nam na miejsce pracy. Śniadanie to: dwie do trzech kromek chleba z marmoladą. Kolacja taka sama, na obiad zupa grochowa lub ziemniaczana ze szparagami (wykorzystywano uszkodzone szparagi). Posiłki przywoził i nadzorował właściciel plantacji lub jego pomocnik. Właściciel plantacji nazywał się Paul Petors.

Wróciliśmy do baraku noclegowego po zachodzie słońca. Z warunkami higienicznymi było bardzo źle – jeden kawałek szarego mydła na cały miesiąc. Zimna woda ze stawu. Chodziliśmy w tym co zabraliśmy ze sobą z domu.

Wynagrodzenia za pracę nie otrzymywaliśmy. Takie to były niewolnicze warunki życia, wypełnione ciężką pracą, szczególnie biorąc pod uwagę tak młody wiek uczestników.

W lipcu, po sezonie szparagów, odwieziono nas do Arbeitsamtu w Magdeburgu. Tutaj rytm dnia i postępowania był taki sam. Było trochę młodzieży z okupowanych krajów, głównie jednak polskiej.

Przyjeżdżali bauerzy i wybierali robotników do pracy w gospodarstwach rolnych. Jakąś grupę zabrano do fabryki. Mnie i jeszcze jednej dziewczynki nikt nie zechciał. Siedziałyśmy tam 3 dni, noc spędzając przy stole lub na jakiejś ławce. Wreszcie podjęto decyzję, wypisano dokument stwierdzający niezdolność do pracy i kazano nam pojechać do domu.

Podróż z Magdeburga do Kalisza dzieci polskich w tym wieku i w tamtych czasach oraz uwarunkowaniach była niebezpieczna i wymagała odwagi. Jednak wróciłam szczęśliwie do domu, gdzie przyjęto mnie z euforią i łzami w oczach. Wróciłam z zawszoną głową, którą trzeba było natychmiast doprowadzić do porządku. Byłam znów w naszym nędznym, wojennym domu. Życie wróciło do dawnego rytmu dnia – pomoc matce w opiece nad małym bratem. Po kilku dniach powiedziano mi, że parę tygodni po moim i mojej kuzynki wyjeździe zmarła babcia. Zmarła z rozpacz. Moja rozpacz też była wielka.

Żyliśmy w ciągłym oczekiwaniu zakończenia wojny, lecz nikt nie wiedział jak i kiedy to nastąpi. Represjonowanie Polaków trwało nadal w różnej formie. Pod koniec stycznia 1943 roku nastąpiła łapanka, mój dramat się powtórzył. W nocy załomotano znów do naszych drzwi, tym razem jeden żandarm i jeden brunatny. Zabrano mnie po raz drugi. Zawieziono nas do Kalisza. Znowu zebrano tu młodzież z całej ziemi kaliskiej, by wyznaczyć jej dalszy los. Stąd trafiliśmy do Poznania, gdzie zamknięto nas na kilkanaście dni w barakach ogrodzonych drutem kolczastym. Z Poznania do Stargardu Szczecińskiego, do przejściowego obozu, gdzie w 1939 roku przebywali jeńcy polscy. Obóz składał się z kilkunastu baraków ogrodzonych drutem kolczastym i rządził się własnymi prawami.

Na terenie obozu znajdowała się administracja, kuchnia oraz łaźnia z komorą gazową. Do tej ogólnej łaźni wpędzano po kilkadziesiąt osób jak zwierzęta. Przed wejściem należało oddać wszystkie rzeczy osobiste, które wsadzano do komory gazowej, w celu odwszenia, gdyż twierdzili, że wszyscy Polacy są zawszeni. Zapanowało ogólne przerażenie, bo nie wiadomo było, czy z nami nie zrobią tego samego co z naszymi rzeczami. W łaźni popychali i popędzali nas mężczyźni, obrzucając obelżywymi słowami w języku niemieckim. Nieludzkie traktowanie, różnorodność wiekowa od 14 lat aż do wieku dojrzałego oraz niepewność o własne życie doprowadzały do skrajnej rozpacz i upokorzenia wszystkich przeżywających te cierpienia. Następną czynnością było tworzenie nam dokumentacji osobistej. W tym celu robiono każdemu zdjęcie dowodowe oraz pobierano odciski palców.

Karmiono trzy razy dziennie, dwa razy po kromce chleba razowego i czarna kawa zbożowa i na obiad zupa z brukwi i 3 ziemniaki w mundurkach. Spaliśmy na piętrowych pryczach, bez koców,

przykrywając się własnymi okryciami. W baraku panowało przejmujące zimno, rozpraszane piecykiem – kozą. Trwaliśmy w tych nieludzkich warunkach około jednego miesiąca. Takie bytowanie, takie traktowanie i głód, może załamać a nawet zniszczyć najsilniejszą psychikę ludzką. Toteż dochodziło do skrajnych depresji.

Nadszedł dzień, w którym przewieziono nas do Arbeitsamtu w Stolpie (obecny Słupsk na Ziemiach Odzyskanych). Stąd kierowano do bauerów, do niewolniczej pracy. Trafiłam do średnio zamożnych ludzi. Potraktowano mnie dość łaskawie, zatrzymując do pomocy w domu oraz do opieki nad małą dziewczynką. Łaskawość była wynikiem możliwości porozumienia się językiem niemieckim – to była jedyna korzyść jaką wyniosłam z poprzedniego wywiezienia mnie. No i włosy jasno-blond. W ich przekonaniu byłam typem aryjskim. Pytano mnie skąd jestem i gdzie się urodziłam. Po moim oświadczeniu, że w Gdyni domniemali, że jestem pochodzenia niemieckiego, czemu stanowczo zaprzeczałam (byli zdumieni). Przyszedł ich znajomy, aby mnie obejrzyć i porozmawiać ze mną. Przekonywali mnie, że jestem typem aryjskim. Poza tym widzieli zagłodzone i zdesperowane dziecko.

Ustalono, że trzeba mi pomóc. Postanowiono załatwić sprawę, abym pojechała do domu. Za parę dni córka ich znajomego zawiozła mnie do Arbeitsamtu i tam otrzymałam odpowiedni dokument, dzięki któremu mogłam wrócić do domu. Pieniądze na podróż otrzymałam od pracodawcy. I tak po raz drugi los mi dopomógł, a raczej bezpośrednio ludzie, którzy przekonani faszystowskich raczej nie mieli – mieli odruch ludzki.

Wróciłam do domu wbrew oczekiwaniom, ale ku zdumieniu i radości najbliższych. Był kwiecień 1943 roku. Wojna trwa. Ludzie załamani, lecz Polacy to naród romantyków, wierzą że się to zakończy z pozytywnym rezultatem dla nas. Przecież narody walczące z faszyzmem muszą go pokonać: Musi być jakaś sprawiedliwość na świecie, zło nie może zwyciężyć. Z takim optymistycznym przesłaniem naród trwał. Ja też, aż do września 1944 roku, kiedy to nieoczekiwanie spadł na mnie kolejny cios.

Otrzymałam pismo nakazujące stawienie się w wyznaczonym miejscu i dniu pod groźbą odpowiedzialności rodziców za nie przybycie. Cel był następujący: wyjazd do Łodzi na przeszkolenie ślusarskie. Takie pisma otrzymało sporo młodzieży w miasteczku. No i stało się, zabrano mnie po raz trzeci. Zawieziono nas do Łodzi i osadzono w Klasztorze Salezjanów. Przy klasztorze mieściły się warsztaty ślusarskie. W zdewastowanej kaplicy urządzono noclegownię. Na piętrowych pryzkach sypiało około osiemset dziewcząt. Zamknięty teren mieścił wszystko, co do funkcjonowania obozu było potrzebne.

Obóz pracy mieścił się przy ul. Wodnej 36 w Łodzi. Jego filia znajdowała się przy ul. Piramowicza 11/13. Była tam młodzież męska, doprowadzana pod nadzorem na ul. Wodną, do warsztatów. W obozie tym osadzono młodzież polską przeznaczoną do robót przymusowych w Rzeszy. Wysyłano do fabryk zbrojeniowych po kilku miesiącach przymusowego szkolenia w zawodzie: ślusarza, tokarza, mechanika narzędziowego.

Obowiązywał 12-godzinny dzień pracy w trybie ciągłym. Były dwie zmiany w ciągu doby. Warunki w obozie były ciężkie. Więźniowie podlegali rygorom więziennym. Codzienne apele, bardzo złe wyżywienie i systematyczny nadzór żołnierzy Wehrmachtu. Złe traktowanie przez nadzorujących było sprawą naturalną. Nie wiem, po prostu nie wiem, jak mogłam trwać w tym niewolniczym marazmie życia: sypiać na pryzkach w zdewastowanej zimnej kaplicy, być ciągle głodna, stać przy warsztacie ślusarskim i piłować pilnikiem kawałki metalu.

Pewnego razu, a był to jeden z ostatnich dni grudnia 1944 roku, zatrzymał się przy mnie jeden z żołnierzy Wehrmachtu. Zapytał mnie w języku niemieckim: „ty mała, chcesz jechać do domu do Kalisza?”. Odpowiedziałam z radością i zaskoczeniem – naturalnie! – „No to chodź ze mną”. Pełna nieufności poszłam. Zaprowadził mnie do pomieszczenia koło warsztatów, gdzie siedziała sekretarka prowadząca naszą dokumentację, oczywiście Niemka. Kazał wpisać moje nazwisko na jakąś listę. Był to czas, w którym wysyłano już dużą grupę młodzieży do zakładów amunicji III Rzeszy. Domyślałam się, że jestem przeznaczona do kolejnego transportu, lecz kiedy i jaki mnie spotka los – nie wiedziałam. Byłam przerażona i pełna niepokoju.

Optymistyczne wiadomości docierały do nas od pracujących tu (dochodzących) łodzian. Mówiono, że połączyły się armie Zachodu i Wschodu i niosą zagładę mordercom faszystowskim, a koniec wojny zbliża się szybkimi krokami. My, zamknięci w obozie, przyjmowaliśmy to z mieszanymi uczuciami – radością i lękiem w sercach – bo ciągle byliśmy niepewni, czy wyjdziemy żywi z tego jarzma (Łódź i Kalisz były miastami wcielonymi do Rzeszy, a zatem prześladowano tu Polaków bardziej niż na innych terenach polskich). Wiadomości o sytuacji z frontu docierały do nas dzięki organizacjom konspiracyjnym, a było ich w Łodzi sporo: „Front Walki za Naszą i Waszą Wolność”, „Obrona Narodu”, „Polska Organizacja Bojowa – Wolność”, „Komitet Sabotażowy do Walki z Hitleryzmem” i inne.

Parę dni później wyjaśniła się sprawa listy, na którą mnie wpisano. Wysyłano nowy transport. Wyczytano kilka osób, które zostały skierowane do Kalisza. Między nimi było moje nazwisko. Cała reszta miała jechać do III Rzeszy, oczywiście do zakładów zbrojeniowych, co w tej sytuacji równało się

śmierci, ponieważ na te obiekty alianci urządzali tak zwane naloty dywanowe. Czyli – można rzec – wysyłano na front polską młodzież. To była ostatnia zemsta faszystów.

W Kaliszu te kilka osób zatrudniono w magazynach zbrojeniowych. Kazano nam układać różne drobne przedmioty, o których przeznaczeniu nie miałam pojęcia. Oczywiście było to pod nadzorem żołnierzy niemieckich. Osoby spoza miasta musiały zamieszkać w Kaliszu. Lokum załatwili nam rodzice przy pomocy życzliwych i patriotycznie nastawionych ludzi. O godzinie 7-mej należało stawiać się do pracy. Taka sytuacja trwała około 3 tygodni.

Wśród żołnierzy niemieckich zapanował marazm. Aż nagle, około 20-go stycznia, zaczęli w pośpiechu i oszołomieniu wszystko zwijać. Nam kazano pójść do domu. Pojechałam do miasteczka, do swego domu wojennego, tym razem już po raz trzeci i ostatni, gdyż 23 stycznia 1945 roku. Kalisz wraz z całą ziemią kaliską został wyzwolony przez Armię Radziecką i I Armię Kościuszkowską Wojska Polskiego. Radość nie miała granic. Bodaj po raz pierwszy w życiu płakałam ze szczęścia. Mimo tylu cierpień byłam niepokonana, żywa i cała wśród swoich bliskich.

W połowie lutego w moim miasteczku, Stawiszynie, otworzono szkołę. Oczywiście pierwszą moją decyzją – jako wolnego człowieka – było podjęcie nauki po tak długiej przerwie. Spełniły się moje gorące pragnienia, aby móc znów się uczyć jak dawniej, w dziecięcych, szczęśliwych latach w Gdyni.

Przyjęto mnie do klasy piątej. Nauka nie przychodziła łatwo po tak długiej przerwie i wszystkich przeżyciach, lecz radość z ocalenia i wolności dodawała mi skrzydeł, wyzwalała motywacje. W mojej życzliwej pamięci zostanie na zawsze kierownik szkoły, Stanisław Osadnik – matematyk, który okazał mi wiele życzliwości i zainteresowania. Zorganizował przyspieszony kurs dla osób po 6-tej klasie, aby w szybkim tempie mogły ukończyć szkołę powszechną. Widząc moją wyteżoną pracę nad sobą i zaangażowanie, a wiedząc o moich przeżyciach, wziął mnie na ten kurs po 2 miesiącach nauki w klasie piątej. Na terenie szkoły zorganizowano harcerstwo, do którego oczywiście należałam. Każde działanie patriotyczne było moją wielką potrzebą.

28 marca 1945 roku została wyzwolona Gdynia. Za parę dni rodzice moi, zostawiając mnie u rodziny, aby nie przerywać nauki, wyruszyli w niełatwą wówczas podróż w celu odzyskania utraconego domu. Zastali go w dużym stopniu uszkodzonym przez działania wojenne.

Nadszedł 9 maja 1945 roku – wielki dzień zakończenia II wojny światowej. Euforia, radość na całym świecie. Nawet tam, gdzie były gruzy i zgliszcza, wylaniało się nowe życie. Uwięzionych i zniewolonych ludzi wypuszczono na wolność. Zaczęli wracać do swoich miejsc bytowania i budować nowe życie w kraju, w którym zginęło tak wiele istnień.

20 sierpnia 1945 roku ukończyłam szkołę powszechną. Za parę dni przyjechał mój ojciec i zabrał mnie do Gdyni, do naszego właściwego domu. 1 września 1945 roku stałam się uczennicą pierwszej klasy gimnazjum gdyńskiego. Byłam bardzo zmęczona i bardzo szczęśliwa.

Lata mijały – wypełnione nauką, pracą i obowiązkami rodzinnymi...